

W czasie tej rozmowy drzwi otwierały się wciąż i zamykały, przepuszczając urzędników, oficerów, którzy zjawiali się dla zaznaczenia swej gorliwości i oddania, aż ukazał się i prefekt policyi, Dubois. Był on koźłem ofiarnym Fouchégo; minister drwiąco wskazał go Bonapartemu. Pierwszy konsul wezwał go do usprawiedliwienia się, i nie słuchając z trudem wykrztuszonych frazesów oficjalnych, napadł go gromiąc:

— Nie od was zatem zależało powodzenie tych zbirów! Jakżeż mogli się wystarać o proch w ilości dostatecznej do wyzadzenia w powietrze całej dzielnicy? Obywatelu Dubois, gdybym ja był prefektem policyi i doczekał się czegoś podobnego, skonałbym ze wstydu!

Pokazał plecy zgnębionemu dokumentnie urzędnikowi. A jakgdyby ostatecznie dał upust swej pasji, zwrócił się spokojnie do Fouchégo.

— Weź się zaraz dzisiaj do roboty. Trzeba bezwzględnie uspokoić ludność miasta. Pamiętaj jednak, że nie uwierz w twą szczerą gorliwość, póki nie dokonasz swego.

Fouché pożegnał go ukłonem i po przez tłum dworaków, który usuwał się z drogi, dostał się do przedsionka. Tam czekał nań przyboczny sekretarz, Villiers. Wsparty na jego ramieniu, spokojny, jakby się cieszył szczególną łaską władcy, wszedł do powozu. Wtedy rzekł Villiers'owi:

— Zdawało się, przez chwilę, że mnie połknie. Gdybym mu był się sprzeciwił, kazałby mnie niechybnie aresztować... Nawet i teraz...

Villiers pokazał ukryte pistolety:

— Przewidywałem to. — Nie byłoby was dostali bez walki.

Posępna twarz Fouchégo rozjaśnił uśmiech. Zwrócił się przyjaźnie do towarzysza:

— Sprzyjasz mi, Villiers?

— Tak jest, obywatelu ministrze!

Znikł uśmiech Fouchégo:

— A prawda, jestem ministrem.

Zdawał się namyślać, a potem zawołał na woźnicę i kazał mu stanąć.

— Udasz się natychmiast — polecił Villiers'owi — do szpitala de la Pitie! Zbudź dyrektora. Powiesz mu, żeś odemnie. Zapytasz o zdrowie niejakiego Braconneau, ugodzonego kulą w piersi. O ile jeszcze żyje, dasz mi znać natychmiast. W takim razie udam się sam jutro rano dla wybadania tego człowieka. Rozkażesz dyktorowi zarządzić wszystko, byle chory mógł mówić.

Sekretarz wysiadł, a Fouché wrócił do siebie.

Gdy te wydarzenia poruszyły całe Tuilerje, obywatel Lerebourg, zaskoczony odebranymi po drodze wieściami, przerażony widokiem ulicy du Chartres, powrócił jak najspieszniej do domu, by donieść żonie o masakrze, która trupami zalała drogę pierwszemu konsulowi. Emilia przyjęła go z miną wielce tajemniczą. Na jego okrzyki nakazała milczenie, a na pytającą minę zaciągnęła go do pokoju. Tam, pewna, że prócz męża nikt jej nie usłyszy:

— Podczas twojej nieobecności zaszła rzecz straszna.

— Cóż takiego!

— Zaszedł do nas Wiktor Leclerc, skrwawiony, ledwo się trzymał na nogach.

— Nieszczęśliwy! Zapewne odniósł ranę w tej strasznej katastrofie!

— Nie mogłam zostawić go przed drzwiami, był bez sił... Zaprowadziłam go do wolnego pokoju na drugim piętrze.

— Zrobiłaś bardzo dobrze! Czy posłałaś po lekarza?

— To niemożliwe!

— Dlaczego!

— Nie wiesz jeszcze, w czym leży cała groza. Obywatel Leclerc jest skompromitowany i gdyby się wydała obecność jego tutaj, mógłby sam być narażony na wielkie niebezpieczeństwa, a i na nas ściągnałby przykrości.

— Moja lojalność jest dobrze znana — zawołał Lerebourg.

— Ciszey — rzekła przerażona Emilia. — Idzie tu o jego głowę.

— Jakto, na Boga, czyżby tak poważny chłopiec bawił się w spiski?

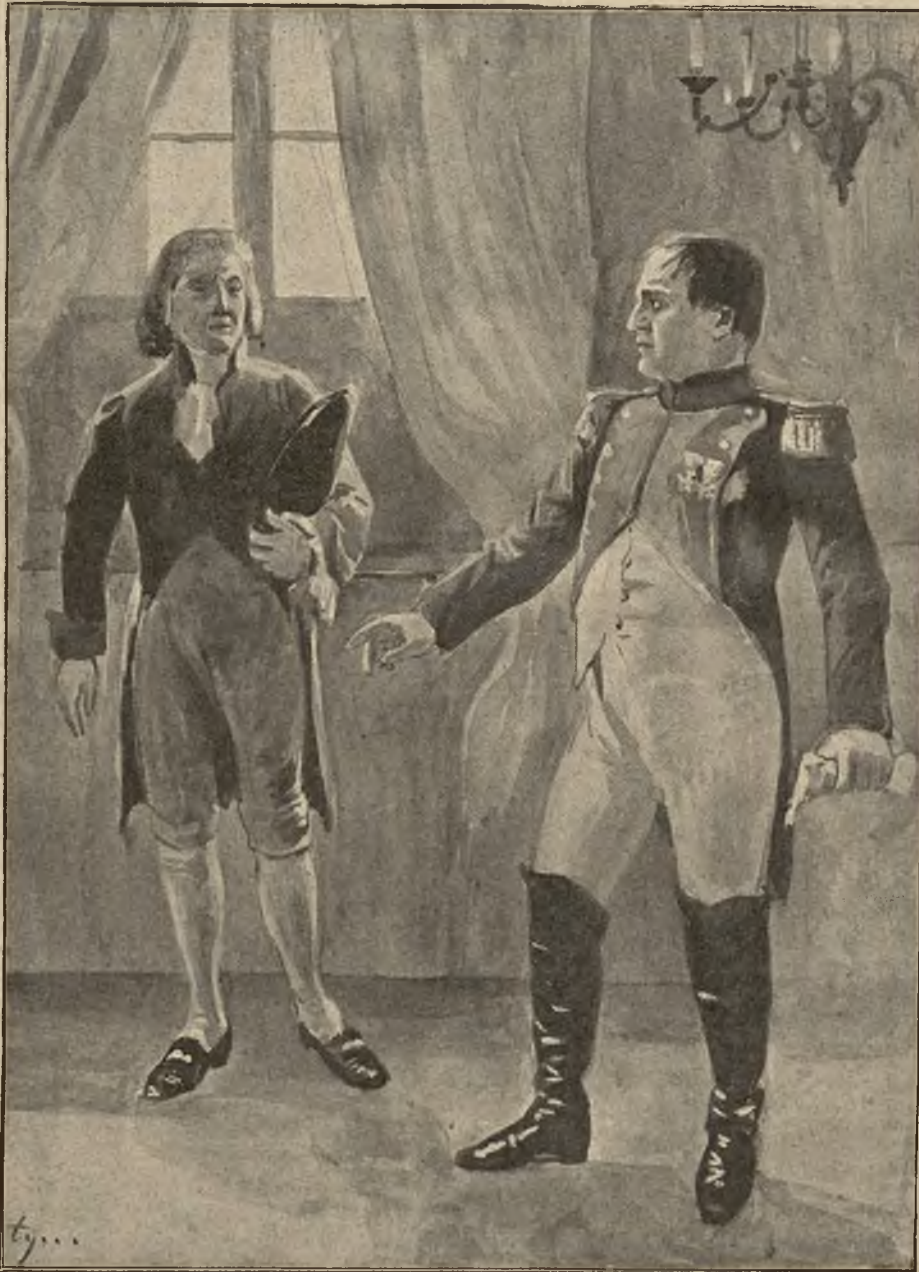
— Wciągnięto go, uległ zgubnym wpływom... Zresztą, nie pora mówić o tem, co niepowrotne: brał udział w dzisiejszym zamachu.

— On, tak miły i łagodny! Jakże nas zawiodł! — Przecież to potworna zbrodnia. Ludzi w kawałki poszarpało... Ofiary w dzieciach, kobietach... I on, Leclerc, rękę do tego przyłożył? To nie do uwierzenia!

— Sprawa przedstawia się prosto. Jeżeli go wydalimy, niechybnie zgubiony. Nim dojdzie do rogu ulicy, wpadnie w ręce policyi, która przeszukuje dzielnicę.

— Któż mówi o wydaleniu go? Mogę potępić niegodziwy czyn, ale od tego, do wydania go... Bo znaczyłoby to wydać go na zgubę...

— Istotnie. Lecz i tu zostać nie może. Obecność jego wydałaby się do jutra. Hieronin, który dziś, szczęśliwym trafem, nie nocuje w domu, jutro spostrzeże, że ma sąsiada. Mógłby się wygadać i wydać się wszystko. Jutro rano musimy stąd wyprowadzić Leclerc'a.



— Twoja policja, datująca się z dawnych czasów, jest głupia...

— Gdzież się podzieje?

— Uda się do pewnego schronienia, dokąd nie miał siły dostać się dzisiaj; ty go tam jutro odwieziesz.

— Jakim sposobem?

— Każę Hieronimowi iść rano po dorożkę, a następnie wysłać go na posyłki. Powód zajadzie na podwórzu, przed tylne schody, tamtędy sprowadzimy i usadowimy w powozie Leclerc'a. Panien sklepowych jeszcze nie będzie, będziemy mieli swobodę ruchów. Ty wsiedziesz na kozioł, każesz jechać na ulicę du Dragon, róg Huchette. Tam wysiedzie Leclerc, a ty powrócisz, nie troszcząc się o niego więcej.

— A jeżeli, duszko, zatrzymają mię w drodze?

— Zbyt cię tu znają, by się do tego posunąć. Któż się spostrzeże, zwłaszcza, że to tak daleko od miejsca zbrodni? Zresztą, trzeba się na to odważyć, byle się wydobyć z kłopotliwego położenia.

— To prawda! Do dyabła z tym Leclerc'iem! Któżby się tego po nim spodziewał. Ciche to, jak panienka. Podobno to terrorystów robota. Więc on z nimi?

— Nie! To rojalista. Mówił mi o wszystkim. Chcieli usunąć Bonapartego i przywrócić króla.

— Szaleństwo! Czyż śmierć Ludwika XVI niczego ich nie nauczyła! Już z królestwem nie zobaczy się Francja; nam trzeba takiego człowieka, jak Bonaparte. Przykro mi, iż pomyliłem się co do Leclerc'a. Uważałem go za bardzo pewnego w interesach, a on spiskuje... I komu tu wierzyć!

— Chcesz go widzieć?

— Rozumie się!

— Chodźmy tedy ostrożnie. Owiązany, omyty, leży w gorączce.

— Więc to rana poważna?

— O mało nie stracił prawej ręki.

— Biedaczysko!

Takto Lerebourg, który gromił zrazu czyn Leclerc'a, doszedł czysto humanitarnym odruchem do współczucia z rannym sprawcą. Wszli na pięterko, gdzie na polowym łożku leżał blady z utraty krwi Wiktor Leclerc. Chciał podnieść się na widok Lerebourg'a, a wówczas straszny ból wykrzywił mu twarz. Emilia ujęła go za ramię i ostrożnie położyła.

— Proszę się nie ruszać. Trzeba leżeć bez ruchu, by nie popsuć opatrunku. Mąż mój przyszedł tu, by wylać pana.

— To kiedy indziej — przerwała pocziwy Lerebourg, litością tknięty na widok rannego. Gdy będzie mógł wysłuchać mię... Na razie trzeba mu spokoju... Jakto źle, że nie może u nas zostać... Po dwóch tygodniach byłby zdrow, jak ryba... Lecz trudno... Ach, Leclerc, poco było się mięszać w takie zbrodnicze awantury! A ja wam tak ufałem! Dziś w nic wierzyć nie można!

— Ależ, mój drogi — przerwała pani Lerebourg.

— Tak, masz słuszość... Zapędziłem się! Lecz winą jego wielką! Zresztą... Postaramy się wywikłać go... Dobranoc... Próbujcie usnąć!

— Zostanę przy nim. Wróc sam — powiedziała Emilia łagodnemu mężowi. — Ja przyjdę wkrótce.

Po powtórnych serdecznych uwagach Lerebourg wrócił do siebie, a Emilia, zasiadłszy przy rannym, ujęła dłoń jego w swoje, usiłowała uspokoić go, dodać ośwagi, tchnąć nadzieję. Pod jej wpływem, pod czarodziejskim działaniem uczucia, następowało zwolna uciszenie w podnieconym stanie Saint-Régeant'a. Krew cichła, nerwy się wygładziły, popadał w błogą bezwładność. Emilia widziała, jak powieki jego walczyły ze zmęceniem, oczy się zaważyły, oddech stał się powolniejszy i sen, dając ulgę w bólu, przyniósł zapomnienie obawy. Wówczas młoda kobieta opuściła zwolna jego rękę, powstała cicho i wyszła, zabierając klucz od pokoiku. Nie położyła się jednak, lecz dała się unieść myślom. Porwana nagłym wirem błyskawicznie po sobie następujących wypadków, nie miała czasu zastanowić się nad nimi. Pierwszą, najpilniejszą rzeczą było zabezpieczenie przytułku nieszczęśliwemu, który stanął u jej progu z prośbą o pomoc. Lecz teraz, gdy wzięła pod rozwagę czyn Saint-Régeant'a, doznała bolesnej zgromy.

Niewypowiedzianym wstrętem przejęty ją szczegółów wypadku, przyniesione przez męża. W jej oczach, niemożliwą było rzeczą, niedopuszczalną, dokonać zabójstwa jednostkowego w jakichkolwiek okolicznościach, w jakimkolwiek celu, a co dopiero sprowadzić taką ręką, która trupami zbryzgala ulice Paryża! I to ukochany przez nią człowiek dopuścił się tej potworności! A ona, miast znienawidzić go, wydać na łup zemsty publicznej, kochała go jeszcze i myślała jedynie o jego ocaleniu. Smutek bez miary przytłoczył jej myśli, gdy to pojęła. Czuła się współwinną. Co więcej, uważała się za odpowiedzialną przez pół za to przestępstwo, ponieważ zapobiegała zadośćuczynieniu. Myślała, że odpowiedzialność jej jest ogromną, że ją będzie musiała krwawo opłacić. Winy takiej bezkarnie dźwigać nie mogła. A przewidywała takie straszne kary, że zdrętwiała na to wyobrażenie i tknęła z przerażenia. Czyż mogła jednak wygnać Saint-Régeant'a, skoro u niej szukał schronienia?

(Ciąg dalszy nastąpi).